

Wycieczka po Górach Izerskich



Dzik w siedzibie Nadleśnictwa Świeradów. Foto: Krzysztof Tęcza

W sobotę 18 czerwca 2011 roku turyści z terenów przygranicznych wyruszyli, w ramach VI edycji Transgranicznych Spacerów Wiosennych, na wycieczkę przyrodniczą po Górach Izerskich. Co roku polsko-niemieckie wycieczki organizowane są przez Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" z Lubania, Regionalne Centrum Edukacji Ekologicznej - Oddział MiPBP z Lubania i Nadleśnictwo Świeradów, przy udziale partnera niemieckiego - Christlich-Soziales Bildungswerk Sachsen e. V. z Miltitz. Ponieważ zaplanowana trasa miała mieć 25 kilometrów długości zbiórka wyznaczona na 7.30 przy moście Staromiejskim w Zgorzelcu. Tam też przyjechał autobus z opiekującą się nami panią Magdą Guła. W drodze do Świeradowa zabraliśmy pozostałych wycieczkowiczów dosiadających się w Łagowie, Lubaniu i Olszynie. W siedzibie nadleśnictwa Świeradów mogliśmy zobaczyć jak przebudowano to miejsce. Wreszcie odkryliśmy gdzie podział się dzik siedzący sobie kiedyś na środku podjazdu. Chodziły bowiem słuchy, iż został wypłoszony. Teraz wiemy, że nie. Aby nie było problemów językowych dołączyła do nas pani Tamara Wadas, która przekazywała turystom niemieckim to co opowiadał pracownik Nadleśnictwa pan Zbyszek Kamiński, mający poprowadzić nas w góry. Pierwsze chwile były przyjemne. Skorzystaliśmy z kolei gondolowej, dzięki czemu zaoszczędziliśmy sporo czasu i sił. Chociaż tuż przed celem, gdy wiatr zakotłosał wagonikiem, poczuliśmy jak wszystko podchodzi nam do gardeł. Jednak prawdziwy turysta nie zrazi się byle czym. Zwłaszcza, że panoramy jakie ujrzeliśmy są nie do opisania. Góry Izerskie są tak piękne, a zarówno tajemnicze i dzikie, że nie można ich pomylić z żadnym innym pasmem. Gdyby przywieziono nas tutaj z zasłoniętymi oczami to i tak byśmy zgadli gdzie jesteśmy. Sam bowiem zapach i to dziwne uczucie jakie tu czujemy, występuje tylko w tych górach. A trzeba wiedzieć, iż miejsce to dotknęła kiedyś olbrzymia tragedia. Ze względu na zanieczyszczenie powietrza zaczęły usychać tutaj drzewa. Wtedy do akcji weszły szkodniki. I aby ratować całość trzeba było w bardzo krótkim czasie wyciąć obumarłe drzewa. Ściągnięto tu chyba wszystkich pilarzy i drwali jacy byli wówczas dostępni. Ale udało się. Co prawda gdy patrzyliśmy wtedy na to co pozostało z pięknego lasu chciało się płakać. Praktycznie do wysokości 800 metrów nad poziom morza las przestał istnieć. Jednak 30 lat usilnych zabiegów ze strony leśników i ogromnej pracy jaką tu włożono przyniosło wspaniałe efekty. Dzisiaj młodzi ludzie patrząc na rosnące drzewa nawet nie pomyślą, że miała tu

miejsce taka tragedia. Co prawda dziwnym może im się wydać, że wszystkie drzewa są w jednym wieku i podobnej wielkości. Ale to nic. Najważniejsze iż znów możemy cieszyć nasze oczy widokiem zieleni.



Górna stacja wyciągu na Stóg Izerski. Foto: Krzysztof Tęcza

Pan Zbyszek opowiedział nam o żyjących tu cietrzewiach, które lubią właśnie młody, rzadki las porośnięty borówkami. Potrafią one przeżyć okres zimowy, mimo ponad metrowej warstwy śniegu. Kopiają sobie wtedy małe jamy i bez problemów przeczekują w nich do wiosny. Dowiedzieliśmy się także jakie są różnice między Leśnym Kompleksem Promocyjnym a Parkiem Narodowym. W pierwszym udostępnia się tereny zarówno dla turystyki jak i pozwala się na pozyskiwanie owoców lasu, czyli jagód, grzybów, ziół itp. W drugim ruch turystyczny ogranicza się do wydzielonych tras i nie zezwala się na pozyskiwanie niczego co na nim rośnie. Wiemy, że wiele osób burzy się na takie obostrzenia, ale pan Kamiński powiedział nam bardzo ważną prawdę: Przyrodę chroni się nie przed człowiekiem, ale dla człowieka.



Pomnik Theodora Koernera. Foto: Krzysztof Tęcza



Wieża widokowa na szczycie Smrka. Foto: Krzysztof Tęcza

Wkrótce, mijając łącznik, dotarliśmy na Smrk i po pokonaniu ponad 80 stopni wdrapaliśmy się na zbudowaną tu w 2003 roku wieżę widokową. Wykonano ją ze stali, co wzrokowo sugerowało o jej stabilności i solidności. Jednak po wejściu na górę okazało się iż wiatry jakie tu wieją bez problemu kołyszają wieżę. To niesamowite uczucie, gdy czuje się jak wieża "odjeżdża" w bok. Zwłaszcza gdy, tak jak dzisiaj, panowała lekka mgła. Ponoć z wieży tej są bardzo rozległe i ładne widoki. My musieliśmy uruchomić naszą wyobraźnię, tak by ujrzeć to co starał się pokazać nam prowadzący wycieczkę. Szczerze mówiąc, nie było to wcale takie trudne. Niektórym nie podoba się budowanie takich wież w górach. Twierdzą oni, że psuje to krajobraz. Jednak czy tak jest, nikt nie wie tego do końca. Na dole wieży przygotowano ogólnie dostępne przytulne pomieszczenie, w którym zmarznięci turyści mogą się ogrzać i posilić, a nawet przeczekać złą pogodę, gdy zajdzie taka potrzeba. W rozmowie jaka wywiązała się z prowadzącym nas Zbyszkim Kamińskim stwierdził on iż leśnicy często bujają w obłokach. Wynika to z faktu, że tak jak w tej chwili, jesteśmy w chmurach. Nasuwa się jednak pytanie, na które słowo należy położyć większy nacisk: na bujają czy w obłokach?

Na rozdrożu, w pobliżu wieży, postawiono w 1903 roku drewniany krzyż z figurą Jezusa, a nieco później zamocowano na skale tablicę upamiętniającą fakt wejścia tutaj znanego niemieckiego poety Theodora Koernera w 1809 roku. Wykuto także stosowny napis na kamieniu poniżej. Dokonano tego dokładnie w stulecie wejścia.

Ponieważ cały czas szliśmy pod górę ucieszyło nas, iż dalsza trasa wyraźnie biegnie w dół. Zwłaszcza, że prowadzący nas Zbyszek Kamiński zachowywał się jakby był na spacerku. Ani nie dyszał, ani się nie zgrzał. Nawet nie miał przyspieszonego oddechu. Natomiast niektórzy z nas i owszem. Jednak szybko zostaliśmy ukarani za takie nastawienie. Ścieżka stała się nie tylko stroma ale i ciężka do marszu. Trzeba było bardzo uważać by nie skręcić sobie nogi. Zaowocowało to sporym rozciągnięciem grupy, jednak obyło się bez niespodzianek. Wkrótce dotarliśmy do wygodnej drogi, przy której najpierw usłyszeliśmy, a później zobaczyliśmy mały strumyk. Okazał się on być rzeką Izerą, tyle że w początkowej fazie. Akurat tutaj wypływała ona ze źródła położonego po stronie czeskiej. Drugie źródło znajduje się po naszej stronie. Wciąż toczą się niezrozumiałe spory czyja jest ta rzeka. Czesi twierdzą, że ich, my, że nasza. To znaczy, to są oficjalne spory. Jednak my turyści doskonale wiemy, że Izerka jest nasza. Przecież od źródła usytuowanego po naszej stronie płynie ona prawie trzykrotnie dłuższą trasą niż ze źródła czeskiego. Zatem po co w ogóle mówić, że Izerka ma dwa źródła? Czy nie lepiej przyjąć, że ta czeska strużka to po prostu zwyczajny dopływ płynącej już Izery. Wydaje się to być nie tylko logiczne, ale i rozsądne. Prawda? A trzeba wiedzieć, że rzeka ta jest niezwykła. Zarówno wody jej jak i jej dopływów należą do zlewiska Morza Północnego. Natomiast druga główna rzeka Izerów czyli Kwisa kieruje swoje wody do Bałtyku. Mamy zatem tutaj granicę zlewni Morza Północnego i Bałtyckiego. Jest to niezwykle ale i pobudzające wyobraźnię.

Właściwie to można powiedzieć, że dopiero zaczęliśmy naszą wycieczkę. Dopiero teraz dotarliśmy do miejsca niezwykłego. Zaczynają się tu bowiem torfowiska. Oczywiście są one objęte ochroną przyrodniczą. Po stronie naszych sąsiadów utworzono kilka mniejszych rezerwatów a u nas jeden, za to olbrzymi, zajmujący kilkaset hektarów. Torfowiska tworzą się w miejscach, w których utrzymuje się duża wilgotność. Są to tereny nieprzepuszczalne, gdzie woda deszczowa znika tylko w sposób naturalny czyli odparowuje. Jednak jest ona utrzymywana bardzo długo. Dlatego występują tu rzadkie rośliny, których nie zobaczymy nigdzie indziej. Właśnie dotarliśmy do miejsca pokrytego drobnymi białymi roślinkami. To welnianka. Wygląda przepięknie. Tak pięknie, że długo stoimy ciesząc się tym widokiem a zarazem słuchając ciekawej opowieści pana Zbyszka. Uświadomił on nam fakt iż podczas klęski ekologicznej najbardziej ucierpiał las. Wszyscy o tym wiemy. Ale dodał, o czym nie pamiętamy, że torfowiska wtedy nie ucierpiały. Pozostały bez zmian. I właśnie w tym miejscu, gdzie staliśmy dowiedzieliśmy się, że chroni się tutaj nie tylko to co widzimy, ale także to co znajduje się pod ziemią i to co znajduje się nad naszymi głowami. Chroni się tutaj niebo. Pojawiło się bowiem nowe źródło zanieczyszczenia środowiska jakim jest zanieczyszczenie światłem. Niestety nadmiar światła jaki powstaje w dużych skupiskach miejskich odbija się niekorzystnie na całe środowisko. Zatem czy słusznie czynimy oświetlając nocą tysiące zabytków?

Podczas krótkiego odpoczynku byliśmy zaskoczeni jak duża ilość rowerzystów przewija się tędy. Z jednej strony dziwi to a z drugiej, patrząc na mnogość utworzonych tu szlaków rowerowych,

ścieżek i dróg jest to normalne. Każdy zdrowo myślący turysta szuka wygodnego szlaku i z niego korzysta. Tak też jest i tutaj. Izery to prawdziwa kraina rowerzystów.

Jak już wspominałem cały czas widzimy ładny, równy las. Tymczasem dotarliśmy do miejsca przerażającego. Stoją tu obumarłe chojaki będące pozostałością po katastrofie sprzed trzydziestu lat. Bardzo to przygnębiający widok. Niestety nie można go zlikwidować gdyż teren ten chroniony jest jako rezerwat. I właśnie dlatego zachował się w takim stanie. Dotarliśmy do Czernej jezirki. Dzięki temu, że ułożono tutaj drewnianą kładkę dla pieszych możemy wejść do rezerwatu i obejrzeć jego wnętrze. A chroniony tutaj ekosystem bagienny porośnięty lasem sosnowym jest dobrym miejscem by poddychać czystym powietrzem.

Teren zaczyna robić się coraz bardziej ciekawy. Pojawiają się jakieś skałki. Na tablicy widzimy napis Pytlacke kameny. Po naszymu są to Kłusownicze Kamienie. Nazwa pochodzi od kłusownika Heinricha, który zdezerterował i ukrył się właśnie w tym rejonie. Było to za czasów napoleońskich. Ponieważ był to człowiek, który zabiwszy zwierzynę zabierał tylko najsmaczniejsze jej części, został znienawidzony przez leśników. Nie ma się temu co dziwić. Nikt nie lubił ani wtedy ani dzisiaj niepotrzebnego zabijania. Zatem gdy idący lasem gajowy Schnaider Hansel oraz rewirowy Hub zobaczyli kłusownika przy potoku, Hub wypalił do niego ze swojej strzelby. Strzał był celny, kłusownik uciekł do lasu gdzie skonał. Po kilku dniach pochowano go tam gdzie upadł. Dzisiaj oprócz skał upamiętniających tamto wydarzenie można jeszcze zobaczyć drewniany Krzyż Heinricha ustawiony w pobliżu.



Odpozynek na trasie. Foto: Krzysztof Tęcza

Prowadzący nas pan Zbyszek uprzedził iż na terenie tym występują żmije. Mają tutaj bardzo dogodne warunki do bytowania. Często wygrzewają się one na nagranych promieniami słonecznymi kamieniach. Co prawda przeciętny człowiek na słowo żmija reaguje nerwowo, czasami irracjonalnie, uważając ją za zagrożenie. A tak, prawdę powiedziawszy, wcale nie jest. Żmija unika kontaktów z człowiekiem. Gdy poczuje ona wibracje ziemi chowa się i tyle. Wystarczy zatem lekko potupać i już mamy czystą drogę. Dla leśników pokazanie się na jakimś terenie żmij oznacza tylko jedno. Jest to dowodem na przywrócenie równowagi w przyrodzie, bowiem to iż takie stworzenia żyją tu i mogą znaleźć pokarm jest bardzo cenne dla danego obszaru. Dlatego nie należy im przeszkadzać. Gdy zajdzie taka potrzeba przyroda sama sobie poradzi z tym problemem. Padło tu bardzo ważne zdanie: *Żmija to sprzymierzeniec leśników i przyjaciel człowieka, nie jego wróg*. Było by dobrze gdyby wszyscy o tym pamiętali.

Jak już wspomniałem teren stawał się coraz ciekawszy. Zza drzew wyłaniały się skały. Było ich coraz więcej. Aż ujrzelśmy te najpiękniejsze, jakby ułożone jedna na drugiej, tworzące mostek nad oknem. Oczywiście nie mogliśmy sobie darować i wdrapaliśmy się na samą górę. Chociaż, gdyby nie namalowane znaki pokazujące drogę, pewnie szybko byśmy utknęli na jakimś występie i czekali na pomoc. Wypatrzyliśmy sporych rozmiarów kociołek na jednej ze skał. Ale najważniejsze to widoki jakie rozpościerały się z góry. Coś niesamowitego. W końcu jesteśmy przyzwyczajeni do wspaniałych widoków w górach. Ale to co zobaczyliśmy tutaj przerosło nasze oczekiwania. Mało tego gdy dojrzelśmy Chatkę Górzystów od razu stanęły nam przed oczami naleśniki, a raczej naleśnik, jaki tam serwują. Jest on tak pyszny i tak wielki, że nawet jak dla dorosłego chłopa, jeden to aż nadto. Niestety tym razem musieliśmy obejść się tylko smakiem. Napawając się widokami zastanawialiśmy się czy spora nisza skalna jaką minęliśmy nie była przypadkiem tym miejscem, w którym chronił się wspomniany kłusownik.



Izerka. Foto: Krzysztof Tęcza

Trzeba jednak było ruszać dalej. Przeszliśmy przez skalny tunel i jakbyśmy weszli w inną krainę. Nie chodzi oczywiście o krajobrazy, bo te są wszędzie takie same, chodzi o to, że gdy tylko wyszliśmy z tunelu ucichł wiatr. Zrobiło się cichutko i przyjemnie. Na skałach tak nie było. Tam mało głów nam nie pourywało. Zrobiło się przyjemnie tym bardziej, że dalsza droga prowadziła cały czas w dół. A nasze nogi potrzebowały nieco odpoczynku. Szybko doszliśmy do Izerki. Po drodze minęliśmy Borkoviste, miejsce z którego wydobywano torf dla potrzeb pobliskiego uzdrowiska. Prace te prowadzono aż do lat 60-tych XX wieku. Dla zainteresowanych podam, że prowadzi tędy ścieżka edukacyjna o nazwie "Trzy izeryny". Nieco dalej weszliśmy do ostatniego już na naszej dzisiejszej trasie rezerwatu Vrchoviste. Torfowisko jakie tutaj ujrzelśmy wzrokowo wyglądało nieco inaczej niż poprzednie. Na dużym terenie widać wiele niby kałuż. Okazuje się iż jest ono prawie identyczne jak te skandynawskie oddalone od nas o 3 tysiące kilometrów. Miejsce, w którym znajdujemy się ma jeszcze inne tajemnice. Wygląda na to, że czas cofnął się tutaj o 10 tysięcy lat oraz, że mamy 500 metrów różnicy wysokości jeśli chodzi o występowanie roślinności. Zatem to co widzimy powinno występować o wiele wyżej. Tyle, że panujące tutaj warunki klimatyczne wywołują u roślin uczucie, jakby było to dla nich właściwe miejsce. Takie małe przekłamanie. Widzimy tutaj przede wszystkim mchy torfowe. Ale naszą uwagę przykuwają całe połacie czerwonych roślinek. Jak się okazało są to rosziczki okrągłolistne, a więc "drapieźniki" żywiące się owadami. Oczywiście tutaj nie mają one zbyt dużych rozmiarów.

Idąc dalej przyglądamy się ciekawym zmarszczkom tworzonym przez nurt na Izerze. Są one tak niesamowite, że nie możemy oprzeć się by nie zrobić tutaj sesji fotograficznej. Do tego jeszcze ten lekko brunatny kolor wody. Ale na torfowiskach wody we wszystkich potokach mają taki właśnie odcień.

Nie muszę nikomu mówić jak się ucieszyliśmy gdy ujrzelśmy tabliczkę z napisem Chata Pesakovna. Jest to typowy budynek na tych terenach, tyle że akurat w tym znajduje się pierwsze miejsce na naszej trasie, w którym można coś zjeść. A chyba byliśmy już głodni. No może bardziej spragnieni. Zatem szybko poskładaliśmy zamówienia i kosztując ciemne piwo Kozeł czekaliśmy na podanie posiłku. Wkrótce okazało się, że także przy podejmowaniu, wydawało by się tak błahej decyzji jak wybór posiłku, trzeba być przewidującym. Bo ci, którzy zamówili dania wymyślne, czyli np. frytki, długo czekali na zaspokojenie głodu. My po sprawdzeniu dania dnia, wybraliśmy gulasz

z jelenia z knedlikami i okazało się to właściwym wyborem. Otrzymaliśmy swój posiłek prawie od ręki. Zatem zaspokoiwszy głód mogliśmy resztę pozostałego nam czasu przeznaczyć na oglądanie "rupieci" tu zgromadzonych. A było co oglądać. Wiszą tu setki różnych dzwoneczków.



Graniczny mostek na Izerze. Foto: Krzysztof Tęcza

Ba, nawet wypróbowaliśmy jeden zestaw dzwoneczkowy wiszący przy drzwiach. Jakież było nasze zdziwienie, gdy na sygnał dzwoneczków przybiegł gospodarz. Okazało się, iż właśnie te dzwoneczki to umówiony dla niego sygnał, że coś się dzieje. Wybaczone nam ten pochopny czyn. Obejrzeliśmy zatem wiszące tu portrety i obrazy, stojącą przy wejściu maszynę do szycia marki Singer. Była ona inna od tych jakie widzieliśmy do tej pory, miała bowiem piętrowe szufladki. Obok stał wózek

inwalidzki ale przeznaczony on był dla turystów "specjalnej troski". Wyposażono go w kask, kroplówkę do której można było podłączyć butelkę Stocka, oraz zestaw niezbędnych kieliszków. Na maszynie ustawiono stare odbiorniki radiowe. Na ścianach powieszono różne instrumenty muzyczne, ale także tary, a właściwie mini tary, siekierę ciesielską, czy wreszcie niezwykle dzwon.

Właściwie po takim odpoczynku grzechem byłoby dalsze wędrowanie, udaliśmy się zatem poprzez miejscowość Izerka w stronę osady Orle. Domy w Izerce są w zasadzie podobne jeden do drugiego. Różnią się tylko wielkością. Minęliśmy budynek dawnej szkoły, w którym znajduje się muzeum Gór Izerskich. Niestety było już nieczynne. Gdy schodziliśmy kamienistą stromą ścieżką do mostu granicznego zaskoczył nas umieszczony na jej początku znak informacyjny, na którym umieszczono taki oto napis: "Cyklisto, sesedni z kola". Muszę jeszcze powiedzieć, bo zapomniałbym. Prowadzący nas pan Zbyszek wprowadził nas w zakłopotanie jak i w zdumienie. Zerwał roślinkę z kępy przy drodze i zadał, zdawałoby się proste pytanie: czy ktoś wie jak ta roślina się nazywa. Proste, prawda! Tylko leśnik może wpaść na taki pomysł. A niby skąd my to mamy wiedzieć. Dla nas wszystkie "chwasty" rosnące przy drodze są jednakie. Szybko okazało się, że miał on ukryty cel w tym pytaniu. Roślina, którą nam pokazał okazała się być wszewłogą górską. Używa się jej jako składnika podczas produkcji żółdkowej gorzkiej. Ale nas zaskoczył! Ponieważ informacja ta zaciekała wszystkich pozwoliłem sobie trochę poczytać po powrocie do domu i dowiedziałem się iż faktycznie używa się tej rośliny we wspomnianym celu. Jednak tylko ekstraktu z jej korzenia, gdyż tylko korzeń jest surowcem zielarskim. Poza tym nie zaleca się samodzielnego jej zbierania, gdyż łatwo można ją pomylić z trującymi gatunkami roślin baldaszkowatych. Chociaż trzeba przyznać, że jej zapach po roztarciu jest zupełnie wyjątkowy.

Zanim przejdziemy drewnianym mostem z powrotem do naszego kraju muszę podzielić się ciekawą sprawą. Otóż Izera jest najwyżej położoną osadą na terenie Czech. Dawniej funkcjonowały tutaj huty szkła, a dzisiaj jest ona uznanym rezerwatem architektury wiejskiej.



Orle. Foto: Krzysztof Tęcza

No wreszcie jesteśmy po polskiej stronie. Przywitał nas Nepomucen wyrzeźbiony w drewnie i ustawiony koło mostu. Teraz pozostało nam tylko mała wspinaczka pod górkę i już po chwili wyszliśmy na polanę gdzie ujrzeliśmy schronisko Orle. Nigdy nie myślałem, że taki widok może tak bardzo ucieszyć wędrowców. Nas ucieszył. Jednak prowadzący wycieczkę był innego zdania, bo zamiast do schroniska zaprowadził nas do jakiegoś nowo postawionego kamiennego słupa. Okazało się to być przedstawieniem Słońca. Jest to część utworzonej tutaj ścieżki dydaktycznej "Model układu słonecznego". Na 4,5 kilometrowej trasie prowadzącej z Orlego do Chatki Górzystów możemy poznać pozostałe obiekty naszego układu słonecznego. Wykonano je w skali jeden do miliarda, co zobrazowano na ustawionych kamieniach. Każde z przedstawień zostało ufundowane przez inną osobę lub firmę. I tak fundatorem przedstawienia Słońca jest stacja Orle, Ziemi - Lasy Państwowe, Uranu - kopalnie uranu itd.

Wszystko to jest niezwykle ciekawe ,ale my szczerze mówiąc, mieliśmy na dzisiaj już dosyć wrażeń i mimo, iż Góry Izerskie są tak ciekawe i pociągające, że prawie nie sposób oprzeć się pokusie wyjścia w nie, zdecydowanym krokiem ruszyliśmy do czekającego na nas autobusu by powrócić do naszych domów.

Krzysztof Tęcza